

Pakt o jedzeniu

Weronika Sobczak

Zbliżają się Święta Wielkanocne, bardzo lubię ten czas. Dziś jest przedostatni dzień szkoły i wszyscy nie mogą doczekać się wolnego. Wtedy do naszej klasy wszedł ksiądz Andrzej i powiedział, że jutro w ramach rekolekcji, pojedziemy do hospicjum. Każdy popatrzył na siebie, nikt się nie odezwał. Następnego dnia wstałam rano, zjadłam śniadanie, oczywiście przygotowane przez mamę. Nawet nie zastanawiałam się co jem, jeszcze spałam. Później do plecaka spakowałam trochę słodyczy, tzn. jakieś ciasteczka, batony, ponieważ lubię sobie podjadać. Cóż często sobie przyrzekałam, że to ostatni raz, ale sami pewnie wiecie jak to jest. Owszem dotrzymałam słowa, tylko tyle, że do momentu, gdy mój wzrok padł na coś pysznego, czyli słodkiego. Teraz pakując łakocie, miałam wyrzuty sumienia, ale pomyślałam, że skoro idziemy pieszo, to zdążę spalić trochę kalorii. Przyznaję się „bez bicia”, uwielbiam nie tylko słodczy, ale i frytki, chipsy, czy pizzę. Chyba jak każdy nastolatek. Po prostu, jak są, to jem. Co mi tam mała nadwaga, czy trochę fałd tłuszczu, to nie tragedia! Tak więc spod szkoły ruszyliśmy z księdzem do hospicjum. Po drodze było trochę żartów i oczywiście „degustowania” tego, co kto wziął ze sobą do jedzenia. Gdy dotarliśmy na miejsce, wszystkich wmurowało. Szybko poupychaliśmy po kieszeniach resztki batonów i ciastek. Było nam głupio. Te dzieciaki były chudziakami w porównaniu do nas. Podeszłam do dziewczyny, która na moje oko miała może czternaście lat. Leżała przy ścianie, niedaleko okna. Miałam wrażenie, że jej oczy są jakieś puste. Patrzyły gdzieś w dal, ale tam był tylko sufit. Gdy odwróciła się do mnie, zobaczyłam w jej oczach cierpienie. Zaszło mi w gardle, ale jakoś zdołałam wykrztusić, że mam na imię Karolina. Dziewczyna nie odezwała się. Nie dziwiłam się, wyglądała na słabą. Od lekarza dowiedziałam się, że ma na imię Ania i odmawia jedzenia. Straciła wolę walki z chorobą. Jej niedożywiony organizm tracił siły. Ania pochodzi z Domu Dziecka i choruje na białaczkę. Nie ma nikogo, kto by ją wspierał, pomagał, dodawał otuchy. Rozejrzałam się dookoła, przy innych dzieciach siedzieli ich bliscy. Mało tego przynosili im posiłki, owoce i warzywa. Ania musiała jeść to, co serwowała kuchnia hospicjum. A to nie było fajne jedzenie. Brakowało pieniędzy, aby było lepiej. A Ania potrzebowała odpowiedniej diety. Postanowiłam się zaangażować, coś zrobić, aby pomóc. Wróciłam do Ani, chwyciłam ją za rękę i zaczęłam rozmawiać. Choć raczej to był monolog z mojej strony. Ucieszyło mnie, że odwróciła się do mnie i zaczęła słuchać mojej paplaniny. Powiedziałam jej, że musi jeść i nie może się poddawać. Obiecałam, że wrócę jutro z niespodzianką. W domu przewertowałam cały Internet, na temat diety dzieci chorych na białaczkę. Dietę, którą znalazłam, skonsultowałam telefonicznie z jej lekarzem. Następnie pobiegłam do pobliskiego sklepu i zrobiłam

odpowiednie zakupy. Sprzedawczyni patrzyła na mnie ze zdziwieniem, gdyż w koszyku nie miałam słodyczy, chipsów, tylko dużo owoców, warzyw i jogurt. Następnego dnia rano, wzięłam się do pracy. Na początek ugotowałam dla Ani zupę z bananów. Miałam dużo frajdy, gdyż zupa mi smakowała. Mama podrzuciła mnie do hospicjum. Podbiegłam do Ani i pokazałam jej moje kulinarne wypociny. O dziwo, słabiotko się uśmiechnęła na mój widok. Bardzo ją prosiłam, aby spróbowała łyżkę mojej zupy. W ten sposób zjadła aż dziesięć łyżek. Pielęgniarka, która temu się przyglądała, powiedziała mi, że to sukces. Zawarłyśmy z Anią układ, że będziemy jadły wspólnie to, co ja ugotuję. Z tym, że ona coraz więcej, aby nabrać sił, zaś ja mniej, żeby schudnąć. Tak zaczęłam codziennie przygotowywać posiłki i biegać do hospicjum, do Ani. Po miesiącu Ania przybrała na wadze, co prawda niewiele, ale zawsze to coś! Wielkim sukcesem jednak było to, że jej organizm lepiej reagował na chemię, ponieważ odpowiednio się odżywiała. Wszyscy byliśmy szczęśliwi: lekarze, pielęgniarki, salowe, ja, moi rodzice, a najważniejsze, Ania też! Jej stan na tyle się poprawił, że w grudniu ja wraz z rodzicami zabraliśmy Anię do nas na święta. A jak Bóg pozwoli, to na zawsze. Już to wszyscy wspólnie uzgodniliśmy. Hura!

Przypomniały mi się wtedy słowa mamy, która chciała abym ograniczyła słodycze: „Człowiek nie żyje po to, aby jeść, tylko je aby żyć”. Dopiero do mnie dotarło znaczenie tych słów.

Od autora:

Dziś wiem, ile trzeba odwagi i siły, aby walczyć z tą podstępą chorobą. Ważna jest pomoc, nie tylko finansowa, ale dużo wsparcia. W szkołach można wprowadzić warsztaty kulinarne jak pomagać dzieciom w hospicjum. Młodzież może zaangażować się w pomoc, gotując choćby zupę z bananów.